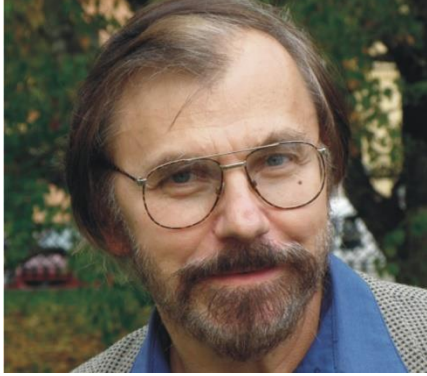


Listy do Pani A. (189)



Fot. Andrzej Dębowski

Przed kocim obliczem

Droga Pani!

Chcę Panią przekonać, że marzenia się spełniają. Nawet te, wydawałoby się, najbardziej niedościgłe. Proszę tylko uważnie rozejrzeć się wokół. Oto zobaczy Pani, jak świat wypiękniał, jaki się zrobił przyjazny. Znikły nienawistne animozje, mamy wreszcie mądry i uczciwy rząd, zapanowała zgoda i dobrobyt. Pogoniliśmy nieudaczników. Złodzieje i gangsterzy z klasy rządzącej siedzą dożywotnio w więzieniach. Tak szczęśliwie zrealizowały się ich... cele... Czujemy się bezpiecznie jak nigdy dotąd, mamy dobre uposażenia, ponieważ wiele pieniędzy udało się odzyskać z łap grabieżców. Ceny są nareszcie adekwatne do naszych zasobów a także do wartości produktów. Zapanowała zgoda, idziemy ulicą i uśmiechamy się do siebie. Nawet urzędnicy wszelkiego autoramentu dają się kochać, a jeśli nie kochać, to przynajmniej lubić. I tak już będzie zawsze, nikt nam tego nie odbierze! Czy nie o taką Polskę jednomyślnie i zgodnie walczyliśmy? Czy Pani widzi tę polską Wielkanoc? Może warto zobaczyć rzeczywistość raz w roku w primaaprilisowym świetle?

W każdym razie rozkwita nam wiosna, na szczęście pory roku i pogody nie są zależne od rządów i partijek. Sam czuję się wolny, jedyna partia którą lubię, to partia szachów.

Pytam siebie, czy warto się było urodzić. Tu odpowiedź może być wielce ambiwalentna. W tej chwili myślę, że tak, choć nie ręczę za to, co będę myślał jutro czy za miesiąc. Miałem na początku roku urodziny, dostałem wiele życzeń, także od osób, z którymi od lat nie miałem kontaktu. Tak, tak, Droga Pani, jednak się urodziłem, za co serdecznie przepraszam. To się już więcej nie powtórzy.

Napisał do mnie m. in. Jan Bończa-Szałbowski, dziś znany i ceniony krytyk teatralny, dziennikarz, publicysta. Pracowaliśmy niegdyś w redakcji „Życia codziennego” i „Życia naszego Codziennego”, które to dzienniki założył Marek Przybylik po całkowitej zmianie redakcji (i lokalu) niegdyś zasłużonego „Życia Warszawy”. Janek był wówczas młodym,

początkującym dziennikarzem, człowiekiem o wielkiej wiedzy i nietuzinkowym poczuciu humoru, czym się zawsze wyróżniał. Często przerzucaliśmy się najrozmaitszymi koncepcjami, przyznam, że niektóre moje złośliwości mogły być dla Jasia przykre, za co Zasłużonego Redaktora teraz oto przepraszam. Przypomniał mi Jan pewne anegdotyczne zdarzenie. Ale oddajmy głos samemu Jasiowi:

Pamiętam też swój pierwszy i jedyny wywiad z Zofią Kucówną. Większość rzeczy napisałem zgodnie z tym, co mi opowiedziała, ale była też dość zawiła anegdota, z którą nie wiedziałem co zrobić. Ty po przeczytaniu streściłeś ją w dwóch zdaniach. Obawiałem się, czy zaakceptuje ją w takiej formie. Ona zaś napisała niemal cały wywiad od nowa, zaprzeczając wszystkiemu co wcześniej powiedziała, jedyne, co pozostała bez zmian, była ta Twoja anegdota.

Wyjaśniam Pani, o co chodziło. Oto dość zawiłe Zofia Kucówna mówiła o różnych nienaturalnych ludzkich zachowaniach. Janek nie wiedział, jak to zapisać, aby było krótko i zwięźle. Rzuciłem wtedy: „napisz: w każdym z nas drzemie potrzeba kreacji”. Ileż to lat minęło od tamtego czasu! Nie mam odwagi liczyć, ale to już parę dziesiątek.

Tymczasem w lutowym tegorocznym numerze „Gazety Kulturalnej” ukazała się recenzja mojego „Epizodu podróznego”, tym razem pióra prof. Ignacego Fiuta. Wiele tam trafnych spostrzeżeń oraz interpretacji. Mam – jak Pani może zauważyła – niekiedy cyniczne, prawie zawsze prześmiewcze spojrzenie na rzeczywistość. Podejrzewam, że nawet w najdramatyczniejszych sytuacjach, w których mógłbym się hipotetycznie znaleźć, zauważyłbym coś zabawnego. Uważam to za cechę pozytywną, ponieważ rodzi pewną odporność psychiczną. Jest jakąś „osłoną” przed dramatem, cierpieniem. To daleko idące mniemanie, ale podejrzewam, że gdyby stał przed plutonem egzekucyjnym, prawdopodobnie dostrzegłbym, że np. żołdak ma niedopięty rozporek, a inny zatacza się pijany. Mam taką irracjonalną wiarę, że to, co za chwilę stanie się w sposób nieunikniony i ostateczny, nie zaistnieje wcale. Doskonale scharakteryzował moją dezynwolturę Ignacy. Oto Jurkowski: *Rozmawia z kotem na temat umierających ludzi w czasie pandemii (...). Przygląda się pijącym jak przysłowiowym wieprzom, zaś świat jawi mu się jak kabaret, na scenie którego jedni aktorzy zastępują kolejnych, co też ma komiczny wydźwięk.*

Święta prawda. Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma dla mnie nic, nomen omen, świętego. To co święte nie musi przecież z definicji być tabu; jest w ciągłej konfrontacji, w dialogu, nawet w żarcie. Bo sacrum musi być żywe. A jeśli żywe, to nie jest niewolnikiem reguła. Może pokrętnie tłumaczę, ale taka postawa bardzo mi pomaga. Stąd i mój czarny humor. Właśnie w tej chwili pomyślałem sobie, że kiedy już będę bardziej zgrzybiałym, na ostatecznym łożu, staruszkami, wyszczepzę z satysfakcją: „nareszcie znowu sztywnieję”. Kiedyś lekarz zapisał mi kilkanaście jakichś tabletek. Powiedziałem: „dziękuję panu doktorowi, wystarczy mi do końca życia”. Spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie. Ludzie nie zawsze

rozumieją czarny humor, drwiny z momentów ostatecznych. Traktują to, jako zły omen, patrzą w sposób magiczny na tylko jeden z aspektów naszej egzystencji. Och, napadła mnie „godzina zwierzeń”, proszę wybaczyć.

W jednym z wierszy napisałem, że uczyć się psiego i kociego. Ostatnio intensywnie kociego. Coraz więcej rozumiem, i kot również. Porozumiewamy się doskonale. Nasza Bristi jest bardzo inteligentnym kotem, ale... czy istnieją koty nieinteligentne? Do niedawna byłem wyłącznie zwolennikiem psów, bo nie znałem kotów. Teraz, pozostając miłośnikiem wszelkiego rodzaju piesków, odkrywam pod pewnymi względami wyższość kotów. Z punktu widzenia leniwego faceta ta wyższość polega na braku konieczności wychodzenia na spacer kilka razy dziennie, i to bez względu na pogodę. Wystarczy kuweta, zwłaszcza kiedy... nie ja ją czyszczę. Pomyśli Pani co za cynizm, prawda? A poza tym charakter, niezależność; fascynująca! Powiedziałem do Ani, że jeśli pies coś zbroi, to się go trochę skarci. A kiedy kot – człowiek śmieje się i zachwyca. Bristi ostatnio spędza mnie z fotela przy biurku. Właściwie nawet nie musi mnie wcale spędzać, bo kiedy wchodzi do pokoju, ja od razu karnie wstaję, niczym uczeń na widok profesorki, aby ustąpić miejsca kociej dostojnej osobie. Tak mnie wytresowała. To satysfakcja, kiedy się jest na służbie u kota: „niech no Stefan dołoży mi karmy, niech odsłoni okno, dobry człowieku, pobaw się ze mną...”. A poza tym bezcenny jest wyraz uroczej kociej twarzy, taki trochę zarozumiały i cyniczno-świński. Można rzec parafrazując Wieszcza: „Kocie! czymże ja jestem przed twoim obliczem? Prochem i niczem”.

Cieszę się z naszego porozumienia. Dużo lepszego, niż z niektórymi ludźmi. Dlatego trochę zazdroszczę stylu życia Simony Kosak, która spędzała życie w otoczeniu zwierząt w swoim leśnym domku. Dochodzę do wniosku, że my nie różnimy się niczym od czworonogów i skrzydlatych. Tu chodzi tylko o rozumienie świata. Dla nas zwierzęcy wydaje się mało dostępny, a dla naszych braci mniejszych – ludzki jeszcze bardziej niezrozumiały i absurdalny. Inne bariery w zasadzie nie istnieją.

Nie należę do oszalałych „ekologów”, choć teraz coraz bardziej głupio mi jeść mięso. Ale usprawiedliwiam się tym, że lwu albo wilkowi nie byłoby aż tak głupio, gdyby chleptał moje flaki. Ale i tu kubek zimnej wody: przecież krowa czy świnia w odwecie by mnie nie pożały. I koło się zamyka. W końcu ludzie też się pożerają, choć najczęściej metaforycznie. Pozdrawiam Panią serdecznie i zapewniam, że Jej nie skusuję –

Stefan Jurkowski

